

Premiera w Krakowie

JACZ MRS

MAY

1948

Zasłużona opinia jednej z najgorszych polskich scen muzycznych (a każdy kto je zna — wie jak ciężko wywalczyć tę

opinię) towarzysząc krakowskiej Operetce została jakby zachwiana marcową premierą. Po serii kalekich potworków scenicznych (z kuriozalną wprost „Pchłą w uchu”) — mniejsza scena krakowskiego Teatru Muzycznego wystawiła „Krajinę Uśmiechu” Lehara. Utwór stale goszczący na naszych estradach, niemniej wciąż chętnie oglądany, a może raczej słuchany. Jest bowiem „Kraina Uśmiechu” melodyjną opowieścią z wplecionymi muzycznymi inkrustacjami egzotyką. Daleko co prawda Leharowi do talentów Rossiniego, niemniej rywalizować może z Sewerynem Krajewskim, a to dużo. Powrót do klasyki operetkowej wyszedł na dobre krakowskiemu zespołowi. Orkiestra pod batutą M. Lidy wprowadziła jak zwykle detonowała w najważniejszych momentach, niemniej — wciąż to porównanie do niegdysiejszych „osiągnięć” — było to jej szczytowe bodaj osiągnięcie od kilku lat. Zdumiewająca była natomiast zmiana solistów! Po pierwsze — po raz pierwszy po wojnie nie zaśpiewała żadnej z głównych ról (a więc żadnej) Iwona Borowicka. Pozwoliło to odkryć — tym razem na scenie operetkowej Alicję Świątek, której śpiew przewyższył o dwa nieba wszystko, co dotychczas wyprawiały w maneużu przy ul. Lubicz operetkowe solistki. Kolejnym ewenementem był sceniczny debiut Janusza Wenza w głównej i trudnej roli Su Czonga. Wielominutowa owacja po premierze była w dużej mierze zasługą tego wspaniale wyposażonego w warunki głosowe, muzykalność i umiar sceniczny tenora. J. Wenz zaśpiewał swą rolę bez zarzutu.

Pomysłem, który zbulwersował krakowski świat artystyczny było powierzenie reżyserii „Krainy Uśmiechu” kolejnemu debutantowi, znanemu specjaliście od estrady i telewizyjnych programów rozrywkowych — Włodzimierzowi Gawrońskiemu. Okazał się on dobrym fachowcem, miał niekiedy pomysły urozmaicające potwornie przecieź nudną fabułę widowiska (np. uzasadnione wprowadzenie na scenę Kojaka i Colombo). Mimo to sędzę, że akurat operetka nie leży w typie jego temperamentu artystycznego, że z trudem podporządkował się powolnej konstrukcji utworu, określonej muzyką Lehara. W każdym razie — podkreślam iż po raz pierwszy widziałem w Operetce krakowskiej jakąkolwiek reżyserię — toteż i pracę Gawrońskiego uważam za sukces. Bardziej bezsporny sukces odniósł zresztą stały współpracownik Gawrońskiego scenograf Marek Grabowski. Oczywiście daleki jestem od przechwalenia nowej premiery. Zbyt wiele w niej przypominało, że mamy do czynienia z niskokwalifikowanymi pracownikami najlepszej wciąż sceny. Niektórzy soliści, orkiestra, zespół baletowy — nadają się do wymiany, jeśli krakowska Operetka chce się artystycznie rozwijać. Niemniej i tak krok w tym kierunku został zrobiony!

Jan Poprawa

Niebawem rocznica — trzydzieści lat temu, w październiku 1948 roku zmarł Franciszek Lehar... W prostej linii następcą Jana Straussa w sztuce wodzenia operetki naddunajskiej. Sam Lehar był zresztą bardzo ciekawą postacią: Węgier z urodzenia, żyjący w Austrii, wykształcony muzycznie przez kompozytorów słowiańskich, twórca mnóstwa operetek; i tych bardzo znanych z „Wesołą wdówką” i „Hrabia Luxemburgiem” na czele — i tych już zapomnianych. Interesował się Lehar i Polska: na motywach sztuki Gabrieli Zapolskiej osnuł swą operetkę „Cariewicz”, zaś leharowski „Błękitny mazur” należy do wciąż żywych, zwłaszcza w krajach zachodnich, dziełek scenicznych.

Ale „Kraina uśmiechu” zajmuje w twórczości Lehara miejsce zupełnie odrębne, niepowtarzalne. Miała dwukrotnie narodziny: raz, jako komiczny „Złoty kaptan” (1923), a potem, już jako melodramat, operetka „z łezką” w 1929 roku. Niby w swej „Krainie uśmiechu” nie odszedł Lehar tak bardzo daleko od uświęconych kanonów wiedeńskiej operetki: jest tu i lekkomyślna hrabianka, i zakochany książę (tyle, że żółtolicy...), i kawalek Wiednia, i podstarzałe arystokratyczne damy, i walc, i „druga para” amantów. A jednak... Tak bowiem swym librettem (wielokrotnie zresztą przerabianym i

Z Teatru Muzycznego

„Kraina uśmiechu”

adaptowanym, zarówno przez literatów, jak i reżyserów tak, że trudno się dziś doszukać pierwotnego wzoru; przykład: w drukowanym programie niedawnej krakowskiej premiery umieszczono libretto wg książki L. Kydryńskiego, a na scenie dzieje się chwilami zupełnie co innego...) — jak i muzyką: melodyjną, stawiającą wokalnie duże zadania, opartą na bogatym wyposażeniu orkiestrowym, wyraźnie gawiluje „Kraina uśmiechu” ku operze. Dlatego to w wielu krajach „Krainę” wystawia się właśnie na scenach operowych.

W krakowskim muzycznym teatrze „Kraina uśmiechu” odradzała się w ostatnim ówierowiczu kilkakrotnie. Ale najnowsze jej wcielenie, które ukazało się ostatnio na scenie Operetki przy ul. Lubicz, przeszło — w sensie optymistycznym — oczekiwania. Jest to po prostu bardzo udany wszechstronnie spektakl i śmiało umieścić go mogę wśród najlepszych przedstawień operetkowych, jakie oglądałem w ostatnich latach w Polsce.

Żadko kiedy widzi się tak

harmonijną artystycznie współpracę: reżysera, scenografów, kierownika muzycznego, choreografa — jak właśnie tu. Zacząć trzeba od inscenizacji... Włodzimierz Gawroński włożył w nową wizję „Krainy” mnóstwo nowych, oryginalnych i artystycznych bardzo sensownych pomysłów, wciągnął do akcji nie tylko scenę, ale widownię, a nawet... poczekalnie (przedni to koncept ów wiedeński salon muzyczny, witający przybywających gości-widzów). Tok dramatycznych wątków jest żywy i wartki (choć sam spektakl długi — bite trzy godziny!), zaciekawiający. I — co ważne — reżyseria bardzo dobrze rozumie muzykę. No, a co w „Krainie uśmiechu” robią panowie: Kojak i porucznik Kolombo (kapitałny Krzysztof Litwin!) — tego już nie zdradzę. To trzeba samemu zobaczyć.

Z reżyserią doskonale współgra scenografia. Dekoracje Marka Grabowskiego nie tylko piękne dla oka, efektowne, ale i w swych rozwiązaniach wręcz imponujące (scena w świątyni): nie przeło dziwnego, że je publicz-

ność przy odsłanianiu kurtyny żywo oklaskuje (to u nas rzadkość). Gra światła, kolorów, odcieni — znakomita. A kostiumy (Anna Rachel) przepyszne: właściwie każdy z nich, zwłaszcza stroje pań — to kreacje.

Jeśli do tego dodam, że dawno nie słyszałem naszej orkiestry, którą kierował na premierze Marian Lida, tak dobrze grającej, tak wypracowanym technicznie i artystycznie dźwiękiem i tak rzetelnie wyszkolonego chóru i że „Kraina” aż przelewa się od melodyjności (któż nie zna popularnych arii „Twoim jest serce me” czy „Kwiat jabłoni?”), uzupełnianej pełnymi werwy tańcowymi rytмами i bardzo interesującymi, różnorodnymi układami baletowymi — to chyba miłe wrażenia, jakie wyniosłem z tej nowej leharowskiej premiery w pełni były uzasadnione.

Tym bardziej, że i znacznie przyczyniali się do tego soliści. Pełną sceniczną wdzięku i uroku, a zarazem pięknie śpiewającą harabianką Liza była Alicja Świątek; jej główny partner, Janusz Wenz, jako książę Su-Czong

— którego pierwszy raz widzieliśmy na naszej scenie — wykazywał duże walory wartościowego tenorowego głosu. Bardzo sympatyczną artystycznie parę stworzyli: Alicja Świątecka (księżniczka Mi) i Jan Lachowski (hr. Gustaw), a z wykonawców dalszych ról głównie charakterystycznych, dobrze się z pewnością zapisał w pamięci widzów: Włodzimierz Kotarba (dyplomata Li), Z. Miłkowski (książę Czang), A. Pagowski (hr. von Lichtenfels) — oraz A. Ritter, Zofia Weissówna, Celina Karpińska. Po premierze urządzono „Krainie uśmiechu” owacje rekordowe. Wróć operetce tej długie powrodożenie na naszej scenie.

JERZY PARZYŃSKI

Krakowski Teatr Muzyczny — scena operetkowa: „Kraina uśmiechu”. Muzyka Fr. Lehara, libretto: L. Herzer i F. Löhner, adaptacja i teksty piosenek: Danuta Baduszkowa, Ryszard M. Groński, Antoni Marianowicz. Kierownictwo muzyczne — Marian Lida, reżyseria — Włodzimierz Gawroński, dekoracje — Marek Grabowski, kostiumy — Anna Rachel, choreografia — Zbigniew Korycki, kier. chóru — Zbigniew Toffel, asyst. reżysera — Michał Ślabikowski, choreografia — Edward Szpotanski.